ROK II — NR 7—8
LISTOPAD 1934
WILNO - POZNAŃ



MIESIĘCZNIK
MŁODYCH
KATOLIKÓW

JANINA BUDKOWSKA

Wołanie Kassandry

(Na marginesie przyjęcia Sowietów do Ligi Narodów).

1. GŁOS NA PUSZCZY.

„Od Petersburga do Leningradu“ — tytuł ostatniej książki Marjana Zdziechowskiego jest wyrazem głębokiej pasji uczonego, ostrzegającego nas przed ciągnącym ze Wschodu pożarem. Bolesna ta książka nie wywarła należytego wrażenia. Polska, chlubiąc się Zdziechowskim, jako uczonym i literatem, lekceważy go, jako publicystę i polityka, uważając go za marzyciela, za bardzo wprawdzie zasłużonego i szanownego, ale trochę żenującego utopistę-dziwaka. Politycznych poglądów Zdziechowskiego nie traktuje się serjo. Sam Zdziechowski zdaje sobie z tego doskonale sprawę, a pisząc o sprawach aktualnych, nie pisze dla swoich współczesnych, jak sam o tem zaznacza:

Protest mój przejdzie niepostrzeżony, nie jest w duchu czasu, chcę jednak, aby pozostał ślad, że w epoce powszechnego opętania umysłów i serc byli w Polsce wśród piszących, choć bardzo nieliczni, ludzie ze zmysłem moralnym i rozsądkiem zdrowym, którzy opętaniu nie ulegli.

Zmysł moralny jest głównym bodźcem literackim Zdziechowskiego. Interesują go przedewszystkiem problemy etyczne. Ludzi i wypadki ocenia on z moralnego punktu widzenia. Najdonioślejsze też w skutki zjawisko historyczne czasów obecnych, rewolucja rosyjska, niosąca ze sobą niesłychany przewrót właśnie w dziedzinie etyki, przykuła uwagę Zdziechowskiego, a zagłębiając się w analizie spustoszenia, jakie postępy idei bolszewickiej czynią w duszach swych wyznawców, uznał za swój obowiązek moralny nieubłaganą walkę z tym duchowym molochem:

Od początku rewolucji rosyjskiej spełniam niewdzięczną rolę Kassandry i ostrzegam; gdzie i jak mogę ostrzegam słowem i piórem przed grożącem ludzkości niebezpieczeństwem, największem, jakie świat dotychczas widział, i niestety, jak owa mityczna kapłanka trojańska, czynię to daremnie, bez skutku.

Na przeszkodzie do zrozumienia grozy bolszewizmu stoi któtkowzroczność polityczna, płycizna głów i serc.

Kto się wzniesie ponad tępe partyjnickie zacietrzewienie? Kto się wyzwoli z tchórzostwa myśli, babrzącej się w błocie małych interesów i niskich namiętności? Gdzie są te serca, co drżą zapałem przy dźwięku wyrazów: religja, kultura duchowa, piękno, dobro, ojczyzna?

Czy zdaje kto sobie sprawę, że pod płaszczykiem potęgi militarnej i politycznej Sowiety hodują inną potęgę duchowej zarazy, gangrenującej wszelką szlachetność?

Czy ktokolwiek miał kiedy u nas czas do zastanowienia się nad tem? Nie; pochłaniające sprawki partyjne, kto zaś poza nie na chwilę wyjrzy, to po to, aby głupio się cieszyć, że stosunki z Sowietami są na najlepszej drodze i że Sowiety są dla nas daleko pożądańszym sąsiadem, niż jakakolwiek inna Rosja, antyrewolucyjna i kulturalna, którąby po nich nastąpiła! Quos Deus perdere vult...

2. RELIGJA ANTROPOIDÓW.

Wybitny publicysta polski H. Srokowski po powrocie z Moskwy wydał studjum socjologiczne p. t. „Elita bolszewicka“ — jest to filozofja bolszewizmu, będąca w gruncie rzeczy jego apoteozą. Srokowski pisze m. i.:

Przykładu równie wielkiego, jak bolszewizm, zbiorowego zuchwalstwa intelektualnego i moralnego nie znają dzieje. Wodzowie bolszewizmu trzymają w wędzidłach zaprzężone do rydwanu rewolucji apokaliptyczne rumaki i kierują niemi. Nieubłagany krytycyzm, ścisła naukowość w myśleniu, którą się chełpią bolszewicy, idzie u nich w parze z trudnym do uwierzenia iluzjonizmem, który jednak nie jest ich słabością, ale siłą, płynie z wiary potężnej, niezłomnej, fanatycznej.

Zdziechowski pogłębia to zdanie. Powiada:

W tej ich wierze tkwi zawiązek nowej religji, nowego kultu. Party koniecznością wewnętrzną i potrzebą wzmocnienia swojej władzy nad masami, bolszewizm pójdzie w kierunku stworzenia nowego związku religijnego. Ale kto bogiem jego będzie, skoro samą ideę Boga usiłuje bolszewizm w fanatycznym szale wyplenić z serc i umysłów?

„Nazwijmy go—brzmi odpowiedź Srokowskiego—bogiem negatywnym“. Określenie genjalne trafiające w samo sedno rzeczy. Ale słysząc to, czujemy mrowie na skórze — i zdaje się autor sam nie zastanowił się nad doniosłością tego, co powiedział.

Nie oglądał Boga żaden żywy człowiek, ale do idei Boga wznosiły się najwyższe umysły w najwyższych chwilach swego życia i niezmiennie ją łączyły z ideami Prawdy, Dobra, Piękna, które, pomimo różnic w odcieniach ujmowania ich, jednaką cześć i entuzjazm budzą w każdem sercu szlachetnem, bóg zaś „negatywny“ byłby negacją Prawdy, Dobra, Piękna; czyli bóg ten jest kłamstwem, przeczącem prawdzie Bytu i Boga, a uznanem, jako Prawda i Byt; jest Złem t. j. zbrodnią i grzechem, wysławianem, jako Dobro; jest Brzydotą uwielbianą, jako piękno. Słowem jest to Umwertung aller Werte, przewartościowanie wszystkich wartości, które samego twórcę pojęcia tego, Fryderyka Nietsche, przejęłoby grozą i które wszystkie wielkie filozofje świata jednako w obrazie pokłóconego z Bogiem Ducha Ciemności, Szatana, Djabła przedstawiają, choć rozmaicie pochodzenie, powstanie i moc Ciemności tej rozumiana bywa. Wobec tego uznać musimy, że bolszewizm jest, a w każdym razie chce być ze świadomością większą lub mniejszą, bezpośrednim porodem Ciemności, bezpośredniem dotychczas w historji niewiedzianem wtrąceniem się potęg Piekła w sprawy tego świata.

Bolszewizm, jako sui generis kult, religja, jak każda zresztą religja, usiłuje wychować człowieka według swego wzoru, swego ideału. Ta szatańska kontrreligja dąży do zabicia w człowieku tego, co jest jego najjaśniejszem znamieniem—dąży do zabicia duszy. Częściowo się to wodzom bolszewizmu udało. Wychowały się już w Rosji Sowieckiej dwunożne istoty, którym Mereżkowski odmawia nawet nazwy ludzi, chrzcząc je mianem antropoidów, stworzeń człowiekowi podobnych; powiada o nich, że „brak czucia wolności odbija się na obliczu tego, kto go nie zna“. Zdziechowski również się zetknął z tymi wychowankami bolszewizmu:

W Rosji nie byłem, ale antropoidów widziałem. Było to przed dwoma laty w Kolonji; wsiadałem do pociągu paryskiego.

Wprowadzono nas do wagonu Niegorełoje — Paryż. Nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem. Wagon był natłoczony; wszystko ludzie stamtąd, ludzie, których dusze były doszczętnie zmyte z podobieństwa Bożego, ludzie bezduszni, daremnieby szukano na obliczu ich, w oczach jakiegoś śladu duszy. Zamiast duszy próżnia, czczość, nuda, śmierć! Przeszedł mię dreszcz obrzydzenia i przerażenia.

Są tacy, co się śmieją z przekonania, że „djabeł rządzi Sowietami". Ci przypiszą zapewne wrażenie to urojeniu, chorobliwej sugestji. Jak powiada O. Muckermann:

Trudno się dziwić, że nie wierzą w szatana ci, co zatracili poczucie Boga i Jego Opatrzności.

Zdziechowski natomiast wierzy w bezpośrednią ingerencję szatana w sprawy ludzkie i nie jest to u niego tylko wiara romantyka, dla którego anioł i djabeł — to jedynie artystyczne odpowiedniki duchowego kamertonu człowieka, jego oddźwięku na łaskę i pokusę, ale wiara człowieka religijnego, który na wielkie widowisko dziejów ludzkości spogląda, jak na tragiczną arenę odwiecznego zmagania się metafizycznych, ale realnych pierwiastków Dobra i Zła.

A rzeczą wysoce zastanawiającą jest przecie fakt, że sama gwałtowność nienawiści, z jaką bolszewicy chcą zniszczyć nawet pojęcie Boga, jest właściwie potężną afirmacją jego istnienia; nie nienawidzi się bowiem abstrakcyjnej idei. Nienawiść, z jaką człowiek — istota stworzona na obraz i podobieństwo Boże i skłaniająca się z natury do uwielbienia (nie do pełnienia) tego co dobre, szlachetne i wzniosłe — zwraca się ku istocie, będącej źródłem i warunkiem wszelkiej dobroci, szlachetności i wzniosłości, nienawiść ta objaśnić się daje jedynie natchnieniem ducha, będącego antytezą wszelkiego dobra, będącego samem Złem, samą nienawiścią, odwiecznego Bożego przeciwnika.

3. ARCYBASZEW.

W książce swojej przytacza Zdziechowski dumne wyznania gorącego rosyjskiego patrjoty Arcybaszewa, który pięć lat przeżył pod panowaniem Sowietów:

Ani jednej chwili bolszewikom nie służyłem; z wyjątkiem tej pół ćwierci funta chleba, którą według kart trzeciej kategorji wydawano wszystkim i każdemu, nic nigdy od nich nie otrzymałem; nie starałem się o żadne „ochronne świadectwa" i wskutek tego utraciłem całe swoje mienie; nie poddawałem się żadnym dekretom sowieckim, o ile one mnie dotyczyły, i do samego końca byłem w stosunku do nich złośliwym dezerterem zarówno wojennym, jak cywilnym; nie brałem udziału w żadnych instytucjach kulturalnych, które oni stworzyli; ani jednego wiersza w żadnej Krasnej Niwie nie umieściłem, gdy zaś tego żądano, odpowiadałem, że dopóki wolności słowa niema, pisać dla nich nie będę; musiałem własnemi rękami na kawał chleba pracować, ale rąk tych ani razu do nich nie wyciągnąłem i—proszę mi wybaczyć tę nieprzyzwoitość — wolałem oczyszczać miejsca ustępowe w dosłownem wyrazu tego znaczeniu, niż z nimi razem pracować nawet w sprawach ochrony skarbów kultury...

Człowiek ten przeżył w państwie Sowietów pięć lat. Wyszedł stamtąd żywy. Te pięć lat to były lata poniżenia, lata męki, lata nędzy i grozy; człowiek ten jednak się nie ugiął. Przychodzą gorzkie refleksje—iluż takich było? Gdy bolszewicy zdobywali władzę byli znienawidzeni przez sto zgórą miljonów. Nie zesłanoby tych ludzi na Sołówki, nie rozstrzelanoby, nie zamęczono. Jak bierna, jak mało przewidująca jest masa ludzka. Dziś w młodem pokoleniu potrafili bolszewicy zabić duszę, zabić wiarę w Boga, zamienić je na stado antropoidów.

4. HIPNOTYZM DUSICIELA.

Rosja się nie oparła. Ale cóż robi Zachód, żeby się oprzeć.

Wschód sowiecki mobilizuje przeciw nam, przeciw Zachodowi, wszystkie żywioły i siły destrukcyjne, a my bezczynnie temu się przypatrujemy, rządy zaś torują drogę inwazji, jakby umyślnie przygotowując swoją własną zgubę, swój koniec.

Powiadają podróżnicy o wężach, że wzrokiem przygważdżają swoje ofiary. Zachód wydaje się być podobnie zahipnotyzowany — niemoc zupełna go ogarnęła. Zdziechowski sięga po przyczyny w wiek XIX-y.

Wiek XIX im bliżej ku końcowi, tem bardziej poddawał się upojeniu postępem, postępem w nauce, w ujarzmiających naturę odkryciach i wynalazkach. Idea wszystkich na tem opartych technicznych, gospodarczych, politycznych możliwości zdobywała demoniczną władzę nad człowiekiem. Postęp był więcej niż hasłem, był bogiem prawdziwym, którego symbolem — maszyna, ewangelją — gazety. Odbijało się to i na religji; katolicyzm stawał się jakiś nieśmiały.

Oto charakterystyka ówczesnego katolicyzmu jednego z najwybitniejszych katolików niemieckich—Hermana Platza:

Jak blada, jak ślamazarna była nasza modlitwa, jak skupieniu naszemu przeszkadzali nieproszeni goście błyskotliwego i błyskotkami wabiącego świata, gdzie się kłaniano bożkowi postępu. Z drugiej strony, jaka podejrzliwość, jaki brak wielkoduszności, jaka ciasnota myśli i duszy ujawniała się nieraz w stosunku do tych, którzy marząc o pojednaniu kultury z religją, szukali nowych dróg, nowych stanowisk! Ilu to pracowników dobrej woli i gorącej wiary odepchnięto i złamano im życie.

5. NADZIEJA I PESYMIZM.

Ruch katolicki dzisiaj słaby jest i mdły, katolicy nie idą ławą na wroga, rozproszeni i rozdarci między sobą i w sobie, przesiąknięci materjalizmem i bezideowością. Jeden ze środków ratunku widzi Zdziechowski w rozwoju ruchu liturgicznego.

W naszem naogół religijnie płytkiem społeczeństwie słyszano coś niecoś o ruchu liturgicznym, ale i wśród tych, co słyszeli, niekażdy się domyśla, jak głęboko są jego źródła. Ruch ten jest reakcją przeciw temu zniedołężnieniu uczucia religijnego, temu onieśmieleniu i zanikowi myśli religijnej, które były odbiciem zapatrzonych w potęgę człowieka i hałaśliwej religji postępu wraz z wynikającą z niej, a pyszniącą się zdobyczami w zakresie techniki, nawskroś materjalistyczną i zarazem demagogiczną kulturą, która żądzą używania porywała i wykolejała jednostki, zacierała świadomość grzechu i konieczność oczyszczenia się z niego, i tem samem niszczyła boski pierwiastek w człowieku, duszę przeistaczała w jakąś kupę gruzów. „Dusza! jakże dziwnie—mówi Hermann Bar—brzmiał ten wyraz w uszach człowieka z kulturą wielkomiejską! Co to jest dusza, kto ma duszę, kto ma czas mieć duszę!"

Zachwyt, jaki odczuwa Zdziechowski dla liturgji katolickiej, wspaniałe karby, jakie w określeniu jej piękna poświęca, nadzieje, jakie z odrodzeniem ruchu liturgicznego wiąże, świadczą o mocnych fundamentach jego wiary. O głębi i szczerości jego uczuć religijnych niech świadczy następujące wyznanie, którego bez serdecznego wzruszenia czytać niepodobna:

Uczucie gnębiącego upokorzenia ogarnia mnie, człowieka z tego świata, gdy o tych wielkich rzeczach mówię, mając świadomość, że nie czuję ich tak, jak powinienem czuć, że nie są one najwewnętrzniejszą treścią duszy, głęboko wszystkiemi korzeniami tkwiącej w doczesności.

I po tem pokornem confiteor sięga Zdziechowski do „Rozmyślań o Ewagelji" wielkiego biskupa węgierskiego Prohaszki, by jego słowami uwydatnić wartość jedynego leku na wielką chorobę. Lekiem tym jest komunja św., która może wykształcić zastępy świętych.

Tylko świętość jest zdolna zwyciężyć w tej walce. Świętość jest duchem Kościoła i Kościół ją wytwarza. Święci—mówi ów biskup — to „żywe Te Deum", to „góry Boże, sterczące w niebo, w wieczność".—Są oni wyrazem najwyższych twórczych sił dziejowych, „to najcieplejszy, najpotężniejszy prąd, ciągnący przez historję"... To prąd apostolstwa, czerpiącego moc swoją — w eucharystycznej jedności ze Zbawicielem. Prąd ten zmiecie wysiłki piekła!

Niestety zbyt wielu zawodów doznał w życiu Zdziechowski, zbyt długo dusi się w atmosferze absolutnej bezideowości, by tym akordem wiary rzecz swoją zakończyć. Czy ratunek jest jeszcze możliwy?—pyta i z beznadziejnym pesymizmem odpowiada:

Doświadczenie mówi, że nie. Trujące zarazki bolszewickie głęboko weszły w ciało Europy. Na tem właśnie polega kryzys kultury, kryzys tak głęboki i straszny, że nie dziw, iż niejednemu wydaje się zapowiedzią bliskiej śmierci.

Wstrząsający jest widok tego sędziwego myśliciela, jak obu wzniesionemi rękami ostrzega Europę przed niebezpieczeństwem, sunącem ze Wschodu; oczy ma pełne męki, w twarzy wyraz rozpaczy, a siwe jego włosy barwi już łuna nadciągającej pożogi.

X. WALERJAN MEYSZTOWICZ

Gdzie jest grób Witolda?

Właściwie co dziś komu do tego? Czy nie wszystko jedno, gdzie leżą średniowieczne Ziemowity i Mścisławy? A jednak Witold zbyt wielki miał udział w stopieniu nas w jedną całość, w zjednoczeniu nas z Polską, we wszczepieniu nas w Kościół, by był nam obojętny. I nietylko polityczne względy kazały nam szukać w zalanych wodą podziemiach spustoszonego Kościoła Zamkowego, w podziemiach Katedry Wileńskiej, grobu Wielkiego naszych ziem Hospodara.

Nie znaleziono go dotąd, a raczej, nie zdołano wskazać, które z tylu znalezionych pod Katedrą kości, są jego kośćmi. Nie było przy żadnych ni kołpaka, ni miecza, ni napisu.

Ale nietylko po insygniach ostatki Wielkiego Księcia poznać można. Za cieniutką, rwącą się co chwila, nitką przekazów źródłowych idąc, przyglądając się bacznie kamieniom, które po swej drodze zostawiają dzieje, można odnaleźć miejsce, gdzie go złożono. Wiele źródeł zginęło. Z tych, co zostały, dostępnych jest mało; muszą nam wystarczyć nieraz tak mgliste ich odbicia, jak n. p. te, które podał ks. Kurczewski. Ale i to, co mamy, wiele cennych wskazówek dać może.

* * *

Zacznijmy od kamieni.

O grobie Witolda jeden tylko napis wspomina: ten mianowicie, który Eustachy Tyszkiewicz kazał wykuć w 1852 roku [1]). Ileż różnych wiadomości chciał nam autor tego epitafjum przekazać! Pierwszą jest ta, że Bona Witoldowi pomnik przygotowała „paravit"; drugą, że biskup Protasewicz umieścił ten pomnik (zrobiony przez Bonę?) przy ołtarzu Witolda; (wiemy skądinąd, że było tych ołtarzy dwa) [2]); trzecią, że tenże biskup w 1573 roku zwłoki Witolda „w nim" („in eo") złożył, (w ołtarzu czy w pomniku?); czwartą, że pomnik ten stał w przedsionku północnym Katedry do 1610 roku, gdy został spalony, „et iniuria temporum" zniszczony.

Jak na jeden napis to dosyć. Z tych wiadomości dwie przedewszystkiem mają znaczenie dla poszukujących grobu Witolda. Po pierwsze, że biskup Protasewicz przeniósł zwłoki Witolda; po drugie, że pomnik stał niedaleko grobu, w północnym przedsionku Katedry. Pierwsza z tych wiadomości nie może nie budzić zastrzeżeń. Podaje w niej Tyszkiewicz fakt odległy od siebie o lat bez mała trzysta; a wątpliwości jeszcze wzrosną, gdy się przekonamy, że o przeniesieniu zwłok Witolda milczą akta kapituły z 1573 roku, tej kapituły, która właśnie w tym czasie zajmowała się sprawą nabożeństw za duszę Witolda[3]). W obecnym stanie dostępnych nam źródeł wieść o przeniesieniu zwłok musimy odnieść do rzędu późnych, niesprawdzonych legend. Natomiast wiadomość o tem, że pomnik stał w północnym przedsionku Katedry, nie da się tak łatwo obalić. Stał on tam, na widocznem miejscu, przynajmniej przez lat trzydzieści kilka; a i po pożarze 1610 roku ślady jego przetrwać mogły z łatwością aż do przeróbek Gucewicza, t. j. do czasów bezpośrednio autorowi napisu bliskich. W poszukiwaniu grobu Witolda epitafjum Tyszkiewiczowskie jest drogowskazem: szukać grobu należy w północnej części katedry, w okolicy przedsionka. Zobaczymy, że i z innej strony wywód ten znajduje potwierdzenie.

Gdzie był północny przedsionek? Kurczewski [4]) zupełnie dokładnie określił jego miejsce. Przed przeróbką Gucewicza przedsionkiem była kaplica, zwana dziś „Kaplicą Grobu"; (por. szkic). Gucewicz zaś urządził przedsionek z kaplicy, która według Kurczewskiego była kaplicą Kieżgayłłów (na szkicu „skład"). Niewiadomo, który przedsionek miał na myśli Tyszkiewicz. Tak czy inaczej, idąc za jego wskazówkami, grobu Witolda należy szukać w pobliżu dzisiejszej „kaplicy Grobu", lub sąsiedniego z nią „składu". Nic więcej z epitafjum Tyszkiewiczowskiego wywnioskować się nie da.

* * *

Od kamieni przejdźmy do nitki Ariadny zapisów.

Doszedł do nas testament Witolda, a z niego wiemy, że Wielki Książe kazał się pogrzebać obok swej żony Anny „w pobliżu ołtarza św. Michała"; tam też prawdopodobnie spoczęły później zwłoki księżnej Juljany Witoldowej [5]).

Gdzie jest ołtarz św. Michała?

Jeszcze w początku zeszłego wieku wiedziano o tem ogólnie. Altarysta, który kaplicę św. Michała obsługiwał, korzystał z dochodów z Ihumenia zgodnie z zapisem Witolda [6]). Akta kapituły z 23 sierpnia 1629 roku wymieniają również kaplicę św. Michała: jest w nich mianowicie mowa o „Kaplicy Kieżgayłłowskiej", która wśród innych tytułów miała również tytuł „św. Michała Archanioła [7]). Kurczewski przekazał wiadomość, że Bukieciszki nad Berezyną, Łukomla i Mołodeczno były zapisane przez Michała Kieżgayłłę na kaplicę, noszącą także tytuł „Kaplicy Narodzenia N. M. P. i św. Michała" [8]). W aktach wizytacji biskupa Zienkowicza z połowy XVIII wieku kaplica Najświętszej Panny, „Kieżgayłłowska", jest wymieniona jako ta, na którą Michał Kieżgayłło zrobił zapis [9]). Wystarczą te dane, by ustalić, że kaplica św. Michała i kaplica Kieżgayłłowska to jedno; przypuścić należy, że Michał Kieżgayłło, w 1476 roku, uczynił zapis na kaplicę swego patrona, w której już od pół wieku prawie spoczywało ciało Witolda i że potem kaplica ta dwie miała nazwy. Tak samo n. p. biskup Wołłowicz robił zapisy na kaplicę królewską, która później znana była pod nazwą Wołłowiczowskiej lub Niepokalanego Poczęcia. Wiadomo też, że w kaplicy Kieżgayłłowskiej już od XVIII-go wieku stała figura św. Antoniego [9]); popularność tego świętego mogła przygłuszyć pamięć dawnego patrona. Zresztą, być może, że gdy wraz z Ihumeniem w XIX-ym w. zginęło uposażenie Witoldowe, zapomniano też i o Witoldowym tytule. Faktem jest, że nazwa „św. Michała" uległa zapomnieniu w zeszłym wieku [6]), została zaś nazwa kaplicy Kieżgayłłowskiej.

Ale gdzie była ta kaplica Kieżgajłłowska?

Dwie istnieją na ten temat hipotezy. Obie umieszczają kaplicę Kieżgayłłowską w północnym szeregu kaplic katedralnych, to jest po stronie ewangelji.

Kurczewski, najlepszy jak dotąd znawca dziejów Katedry, sądzi, że kaplicą Kieżgayłłowską jest lokal, przez Gucewicza zamieniony na północny przedsionek Katedry [4]) (na szkicu: „Skład"). W innym jednak miejscu tenże Kurczewski nazwę „Kieżgayłłowskiej Kaplicy" daje obecnej „Kaplicy św. Antoniego" (por. szkic). Tę drugą opinję przyjmuje też Pr. Cywiński [10]).

Dodajmy wreszcie, że i trzecia hipoteza jest możliwa—ponieważ kaplica z epitafjum Kieżgayłłów znajduje się nad drzwiami do „Kaplicy Grobu", to być może, że właśnie ona jest kaplicą Kieżgayłłowską, czyli kaplicą św. Michała.

Z tych wszystkich przypuszczeń najprawdopodobniejsze jest to, według którego kaplica św. Michała jest obecna „Kaplica św. Antoniego" (patrz szkic). Przemawia za tem fakt że każdy, ktoby nie zaćmionem badaniami okiem szukał w Katedrze

miejsca kultu św. Michała, musiałby właśnie na kaplicę św. Antoniego wskazać: 1) obydwa, tu umieszczone pomniki z imieniem tego Archanioła się łączą; jeden jest nagrobkiem Michała Zaleskiego [11]), drugi—przez Michała Orłowskiego, fundowaną pamiątką Franciszkanów [12]); 2) malowidła na ścianach, rozeta sufitu przedstawiają aniołów; 3) kaplica ta nosi dziś nazwę kaplicy św. Antoniego, a wiemy, że figura tego świętego stała w XVIII wieku w kaplicy Kieżgayłłowskiej [9]) (oczywiście, nie jest to ta sama figura, którą dziś na ołtarzu widzimy); 4) wreszcie jest w niej obraz Zwiastowania, co znowu ją z kaplicą Kieżgayłłowską wiąże [13]).

Natomiast hipotezy, umieszczające kaplicę Kieżgayłłowską św. Michała w dzisiejszej „kaplicy Grobu“, czy też w „Składzie“, opierają się tylko na epitafjum Kieżgayłłowskiem. Być jednak może, że przynajmniej pierwsze z tych przypuszczeń nie jest sprzeczne z tem, któreśmy za najbardziej prawdopodobne uznali. Kaplice te leżą obok siebie i kto wie, czy dawniejsza kaplica św. Michała nie była większa, i czy jedna, lub obie, rozdzielające je ściany nie pochodzą z późniejszego okresu?

Nie żądajmy jednak od aktów, by dały nam więcej niż dać mogą. Zadowolnijmy się tem, że wskazują one jasno, iż k a p l i c a g r o b o w a W i t o l d a — t o j e s t k a p l i c a ś w. M i c h a ł a c z y l i K i e ż g a y ł ł o w s k a — n i e g d z i e i n d z i e j b y ć m o ż e, j a k p o m i ę d z y z a c h o d n i ą ś c i a n ą „K a p l i c y ś w. A n t o n i e g o” a w s c h o d n i ą ś c i a n ą s k ł a d u”. Uzyskaliśmy już zatem na tej drodze potwierdzenie wniosku, opartego na Tyszkiewiczowskim napisie, że właśnie w tej okolicy stał Protasewiczowski pomnik w pobliżu grobu Witolda.

Z r e s z t ą w p ó ł n o c n y m s z e r e g u k a p l i c n i e m a i n n e g o m i e j s c a n a k a p l i c ę ś w. M i c h a ł a. Niema żadnych podstaw, by sądzić, że kaplicą tą jest kaplica św. Władysława - Wojniańska, albo Królewska, później Wołłowiczowską zwana; to samo dotyczy obecnej zakrystji, przez Gucewicza wzniesionej, jak i dawnej zakrystji, obecnej klatki schodowej, jak też sąsiedniej z nią „kaplicy św. Piotra“. Jesteśmy zatem znowu ograniczeni do terenu tych samych trzech kaplic. Stąd wniosek, że właśnie pod niemi grobu Wielkiego Księcia szukać należy.

Utrudni te poszukiwania fakt, że gdzieś w tej samej okolicy, niedaleko od kaplicy Kieżgayłłowskiej, były też groby Kieżgayłłów. Wiemy o tem z ich epitafjum [1]); ale chyba nietrudno będzie grób Kieżgayłłowski od Witoldowego odróżnić: nawet — co z góry, wobec wypadków z 1655 roku przypuszczać należy—gdyby w grobie Witolda żadnych insygniów nie było, pozostanie zawsze kryterjum według ilości pogrzebanych ciał; w grobie Kieżgayłłów złożono trzech mężów, a każdego z żoną [4]), w grobie zaś Witoldowym pochowano obok Wielkiego Księcia dwie jego żony.

* * *

Podałem wnioski z przekazów dziejowych, któremi powinni się kierować ci, którzyby grobu Witolda szukali. Dają te wnioski, jak większość wniosków historycznych, pewność względną tylko i czekają na potwierdzenie przez badania na miejscu. Tak ów matematyk, który miejsce nieznanej planety obliczył, czekał, by ją astronom w teleskopie dojrzał.

Zwiedzając tego lata Katedrę naszą zauważyłem w posadzce, naprzeciw kaplicy św. Antoniego, tafle kamienne, zamykające przejście do lochów (na szkicu „wejście do grobu Witolda“). Mówili mi robotnicy, a potwierdzenie tej wieści z najbardziej kompetentnego uzyskałam źródła — że p r z e j ś c i e t o p r o w a d z i d o k r y p t y, w k t ó r e j s ą r e s z t k i t r z e c h c i a ł. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to znaczy, że dedukowane z akt hipotezy zostały potwierdzone faktem, i że n i k t, b e z p o w a ż n y c h d o w o d ó w p r z e c i w n y c h, j u ż m ó w i ć n i e m o ż e, ż e n i e w i a d o m o g d z i e l e ż ą z w ł o k i w i e l k i e g o h o s p o d a r a, s y n a K i e j s t u t a i B i r u t y — i d w ó c h ż o n j e g o, A n n y S m o l e ń s k i e j i J u l j a n y A l g i m o n t o w i c z ó w n y H o l s z a ń s k i e j.

Dokumenty i polemika

1) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy*, (Wilno 1908) t. I., 263.

...pomnik z marmuru czarnego, w ramach z piaskowca koloru popielatego, piękną sztukaterją przyozdobionych, Aleksandra Witolda, Wielkiego Księcia Litewskiego, wzniesiony pierwiastkowo przez królowę polską, Bonę, za biskupa Walerjana Protasewicza (który zwłoki jego pod ołtarzem Witoldowskim w roku 1573 złożył). Po zniszczeniu tego pomnika w roku 1610, dopiero w roku 1852, staraniem Eustachego hrabiego Tyszkiewicza, ze składek odnowiony z następującym napisem, literami rytemi. pozłacanemi.

„Bona Sphorzia, Regina Poloniae, Inclito Principi Alexandro Vitoldo, Magno Duci Lithuaniae, de patria sua optime merito, et rerum gestarum gloria per universum orbem claro: dum viveret lapidem istum paravit. Valerianus demum Episcopus Vilnensis Benefactori Templi illius monumentum hoc altari eius apposuit. Ossaque eius ante non pro dignitate servata in eo conclusit. Anno Domini MDLXXIII. Monumentum non procul hoc loco in ipso recessu septentrionali huius Ecclesiae quondam positum, sed ignis voragine anno MDCX iam exustum, ac temporis iniuria deletum anno MDCCCLII pristina inscriptione restituta memoriae aeviternae postiminio mandatur“.

2) KURCZEWSKI, *Kośćół Zamkowy*, (Wilno 1908) t. I., 13.

Witold... nadał fundusz na budowę ołtarza (ś w. K r z y ż a), i na uposażenie... altarysty. Na środku tedy nawy głównej postawiono prosty krzyż drewniany... a przed krzyżem urządzono mensę ołtarzową... Ołtarz ten zaczęto nazywać Witoldowym, albo okratowanym altare cancellatum.

Nie poprzestając na wzniesieniu nowej świątyni i uposażeniu ołtarza, Witold zakłada przy kościele kaplicę św. Michała nad grobem swej żony Anny (w r. 1530) (S)... Kazał i siebie tutaj pochować.

3) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy*, (Wilno 1916) t. III., 57. *Acta Venerabilis Capituli Vilnensis 1573 r. 1 października.*

Kapituła widząc zaniedbany aniwersarz Witolda zwraca się do biskupa, by go odnowił (112).

(O c z y w i ś c i e m i l c z e n i e a k t ó w K a p i t u ł y w t e j s p r a w i e p r z y j m u j e m y n a w i a r ę K u r c z e w s k i e g o — j a k o j e d y n e g o o b e c n i e d o s t ę p n e g o ź r ó d ł a).

4) KURCZEWSKI, *Kościoł Zamkowy*, (Wilno 1908) t. I., 278;

9. Kaplica św. Władysława, pierwsza od wejścia po stronie ewangelji.

10. Kaplica Niepokalanego Poczęcia.

11. „ Zwiastowania, dawniej Jasińskich albo Wniebowzięcia. Po przeniesieniu funduszu Jasińskich do kaplicy Januszowskiej urządzono tu kaplicę Zwiastowania N. M. P., i umieszczono w ołtarzu obraz Zwiastowania Kanuta Rusieckiego. Okno w kaplicy jedno. Ołtarz stolarskiej roboty, malowany. Po prawej stronie pomnik z marmuru białego, postawiony przez Marcina Zaleskiego Referendarza. (T u o d p i s n a p i s u).

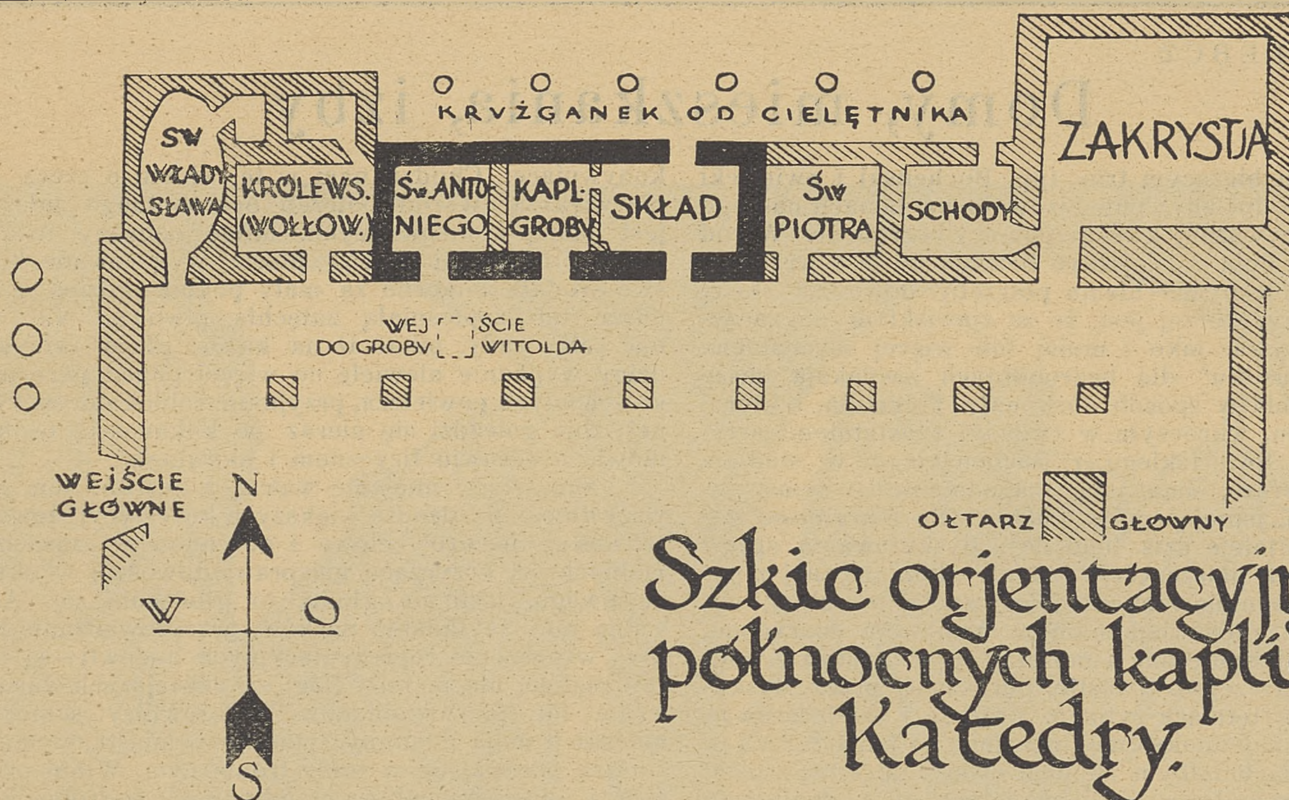
12. Kaplica Grobu Zbawiciela, dawniej przejście do Zamku.

13. „ dawna Kieżgayłłowska fundowana w 1476 r., po przebudowaniu Katedry za Gucewicza zamieniono na przejście w stronę Cielętnika. W bocznej ścianie nade drzwiami, prowadzącemi do Kaplicy Grobu, znajduje się tablica z marmuru brunatnego, na niej herb Kieżgayłłów, z napisem:

DOM. Sta viator. Et dum quis hic jacet spectas, non mirare, quod tanta nomina et gloriosa eorum facta legeris absque elogiis, non tam ingrata oblivione, quam obligata modestia tumulatis Jacent hic de antiquissima Kieżgajllorum et una ex primis familia, virtute ac titulo Illustrissimi! Nicolaus Palatinus, Joannes Castellanus, vitepscenses, cum celsissimis Consortibus suis principissis Correcia et Radivilia. Andreas Thesaurarius MDL cum illustrissima coniuge sua Wołłovicia, Comites in Baksztis Zavissii... Pronepos Christophorus cum consorte Tyszkievicia posthume aetali hoc epitaphium errexit an 1700 die 14 Junii.

5) FIJAŁEK I SEMKOWICZ, *Codex dipl. Eccl.... Vilnen.*; (Kraków 1932) Vol. I., fasc. 1., N. 109. *Troki. 21 paźdz. 1430 r. Aleksander — Witold Wielki Książę Litewski zapisuje biskupom wileńskim swój dystrykt czyli terytorjóm Ihumeń...*

„....in remedium animarum nostrae videlicet et coniugum nostrarum, tam Anne... quam... Iuliane...“ u m i e s z c z a j ą c w n i m z a p i s: „...capellano vero seu altariste sive rectori pro tempore altaris sancti Michaelis archangeli siti penes sepulcrum consortis nostre Anne defuncte, ubi et nostri sepulturam corporis eligimus“.



6) KURCZEWSKI, *Kośeiół Zamkowy* (Wilno, 1916) t. III, 412. *Acta Venerabilis Capituli Vilnensis. 1801 r. 30 paździer.*

Kapituła daje ultimatum, do ugodliwego zakończenia pretensji swych do Potockich, o sumy, zalegające po biskupie Massalskim. 1°. Potoccy opłacą Kapelana Kaplicy św. Michała od 1784 r. 2°. dadzą 10.000 zł. jako trzecią część dochodów z Ihumenia...

7) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy* (Wilno 1916) t. III, 114. *Acta Venerabilis Capituli Vilnensis. 1929 r. 23 sierpnia.*

Kaplica Kieżgayłłowska była p. t. Narodzenie N. M. P., św. Jana Chrzciciela i Ewangel., św. Mikołaja i św. Michała arch., uposażona w 1476 r. przez Michała Kieżgayłłę, Wojew. Wilen., Kancl. W. K. L., nadaniem 40 pudów miodu z Łukomli; daninę tę obecny posesor Łukomli, Mikołaj Mleczko, podkom. orszan., zamienił na jednorazową opłatę 5.000 zł. przez się wniesionych (105).

8) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy* (Wilno 1910) t. II, 172. *Dobra zapisane lub obciążone legatami na kaplicę i altarje katedralne.*

44. *Bukieciszki* v. Bugiejciszki, nad Berezyną zapisane przez Michała Kieżgayłłę w r. 1476 na kaplicę jego fundacji pod tytułem Narodzdenia N. P. Marji, św. Jana Chrzciciela, i św. Mikołaja i Michała Archanioła, nadanie to potwierdzone w 1496 r. przez Aleksandra za staraniem Stanisława Janowicza; poddani obowiązani byli dawać podatku 4 uszatki v. beczki miodu i 4 kule lipcu. Dobra te sprzedane za 20.000 zł. p. Raczewskiemu miecznikowi wileńskiemu w r. 1778 przez biskupa Massalskiego, pieniądze zlokowane były na dobrach Massalskiego Mejszagole, Medynie i Szyrwintach, nabytych przez Józefa Houwalta w r. 1799 z warunkiem opłacenia 40.000 zł. p., w które włączono i procenta.

45. *Lukomla* należała do dóbr powyższych, obciążona daniną do połowy miodu z całego zbioru rocznego — do 40 pudów przez Kieżgayłłę, na wspomnianą kaplicę.

46. *Mołodeczno*, obciążone 3.400 zł. p. przez Szemiota podkomorzego żmudzkiego, od których płacono rocznego % 200 zł. p. na kaplicę Kieżgayłłów.

9) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy* (Wilno 1910) t. II, 296. *Wyciąg z wizyty biskupa Zienkiewicza. 18. Visitatio capellae Kieżgayłłowianae.*

Capella Kieżgayłłowiana erecta et fundata est a Michaele Kieżgayłłowicz palat. vilnen. sub tit. B. V. M. a 1476. Ad quam capellam intrando crates ferrei cum janua ferrea colore albo depicti. Altare opera sculptoria ex ligno noviter extractum cum duabus contignationibus sumptu modernis praepositi a. 1743, deauratum cum 2 columnis viride depictis aum mensa lignae et 2 gradibus. In prima contignatione imago Nativitatis B. V. M.; in superiori—imago parva praesentationis B. V. M. In medio mensae crux stannea, candelabra lignea 6, argento quondam illustrata. Ad pedes crucifixi imago s. Antonii... scamnum, armarium...; fenestra magna nova ex claro vitro non pridem contecta.

Kurczewski dodaje do tego wypisu:

...poszukiwaliśmy tej wizyty przez lata... Szczęśliwe okoliczności dały sposobność znaleźć ją w archiwum Czerwonodworskiem hr. Tyszkiewicza, w dziale nabytym od... ś. p. Tatura...

Odnalezienie dziś tej wizyty miałoby dużą wartość, gdyż był w niej odpis zapisu Michała Kieżgayłły, mogący wiele światła rzucić na sprawę; nie mam pod ręką dostatecznych źródeł, by stwierdzić, czy tekst zapisu Kieżgayłły nie jest obecnie skądinąd znany.

10) „BAZYLIKA WILEŃSKA", Wydawnictwo Komitetu Ratowania Bazyliki Wileńskiej str, 38,

Zaznaczmy nawiasem, że opis tej kaplicy, podany w artykule dr. Cywińskiego nie jest ścisły. Przytaczam go w kursywie, oznaczając moje własne uwagi rozstrzelonemi czcionkami w nawiasach.

„Jeszcze dalej wchodzimy do Kaplicy Zwiastowania Najświętszej Marji Panny, czyli Kieżgaiłłowskiej, tak zwanej na pamiątkę założyciela jej w roku 1436. (1476: porównaj odnośniki 4, 7, 8, 9 i 14) *Wojewody Kieżgaiłły. W ołtarzu, projektowanym przez Podczczyńskiego umieszczono obraz Kanuta Rusieckiego, wyobrażający Zwiastowanie. Po bokach stoją dwa posągi* (są namalowane na ścianie dwie figury) *aniołów, powyżej* (poniżej) *figura św. Antoniego z Dzieciątkiem Jezus. W prawej ścianie jest marmurowy pomnik Kieżgaiłły* (Michała Zaleskiego, 11) *z białego marmuru; z lewej—kamienna stara* (z 1864 roku) *tablica przedstawiająca* (tylko opisująca) *męczeństwo pierwszych Franciszkanów w Wilnie około 1345 roku,* (w 1323, w 1341 i 1406, oraz kasatę Franciszkanów 1864), *a przeniosiona z zamkiętego kościoła Najświętszej Marji Panny na Piaskach, (Franciszkanów).* (Por. odn. 12).

11) D. O. M.
Michaeli Lubicz Zaleski
Tribuno M. D. L.
Ter Nuntio Multisque Officiis Pub. Claro
Viro Concilii et Eloquentiae
Vita Deo Patriae Proximo dicata
Errepto morte perenni virtute.
N. A. MDCCXLIV ob. A. MDCCCXII.

(Godnem uwagi jest, że tablica ta pochodzi z czasu, gdy jeszcze prawdopodobnie znano dokładnie „Kaplicę św. Michała"— por. odn. 6; tekst napisu odpisałem z pomnika).

12) † † †
Vilnae.
1°. A. D. 1323 PP. Ord. Min. Fran
ciscani primi ingressi urbem Vilnam
gratia praedicandi fidem Catholicam
N° 14 fratres mortem subisse alii cruce
affixi alii capita (Ś.) plexi iu hac urbe.
2° A. D. 1341 P.P. Franciscani N. 36
ob. eandem Catholicam fidem in urbe
Vilna ab incursione Tartarorum
martyrium subisse.
3° A. D. 1406 quinque P. P. Francisca
norum in urbe Vilna crudelissime
occisos fuere a G. S. S. D.
Supressi sunt 1864 ang. 12.
Hoc monumentum sculp. et donavit R. P. Mich. Orłowski Fran.

13) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy* (Wilno 1908) t. I, str. 282. *Probostwa, altarje i wotywy w Katedrze na początku XIX stulecia.*

28. Altarja Kieżgayłłowska. 5 Mszy czytanych tygodniowo w Kaplicy Zwiastowania.

14) KURCZEWSKI, *Kościół Zamkowy*, (Wilno 1901) t. II., 273 *Fundusze Kaplic... podłóg sumarjusza... 1676 r.*

Kaplica Kieżgayłłowska, fundowana w r. 1476 przez Michała Kieżgayłłę, wojew. wileńskiego i hetmana Litew., z nadaniem niektórych wsi i dziesięciny z Rakowa i Bihomla, uposażenie najlepsze. Fundusze te powiększyli proboszczowie tej Kaplicy, kanonik z Kowna Bartłomiej i Cieszyński.

PAWEŁ ŁEBCZ

Domy, mieszkania, izby

W roku bieżącym trio (pp. Bocheński i Święcicki oraz niżej podpisany) polemizowało na łamach naszego pisma w arcyważnej kwestji pomocy bezrobociu. Wśród potworności dnia dzisiejszego bezrobocie jest wrzodem specjalnie bolesnym — niema potrzeby dowodzić słuszności tej tezy. Gorzej jest, że ze zjawiskiem tem zaczynamy się zżywać jako z mniej lub więcej normalnem, a ochłap „zasiłku“ dla bezrobotnych zaspakaja nasze czułe sumienia w sposób doskonały. Polemika, o ktorej wspomniałem, wkroczyła w związku z ostatniemi artykułami pp. Święcickiego i Bocheńskiego w stadjum znacznie szersze, omawiając zagadnienie systemu gospodarczego, panującego w Polsce. (Na marginesie zaznaczę, że istnieje dziś tendencja dyskutowania spraw podobnych na płaszczyźnie jedynie ekonomicznej z pogardliwem pominięciem—socjologicznej i moralnej; objaw ten jest nieuświadomionym zasiewem marxizmu, który rozwój społeczny i moralny wyprowadza z podłoża gospodarczego). Kwestje, poruszone przez dyskutantów, jako tętniące rytmem potrzeb i zainteresowań chwili, będą niejednokrotnie omawiane na łamach PAX-u. W tej chwili chciałbym zwrócić uwagę na jedną z nich, całkiem szczegółową, ale posiadającą dużą doniosłość praktyczną.

Zakładam — i założenia tego w tej chwili nie dowodzę—że doraźna pomoc dla bezrobocia jest obowiązkiem społecznym i w naszych warunkach obowiązek ten może być spełniony tylko przez państwo i samorządy. Twierdzę również, że bezrobotni, otrzymujący zasiłki, winni dać ekwiwalent w postaci wykonanej pracy. Bez względu nawet na wartość gospodarczą „robót publicznych“ są one konieczne, w przeciwnym bowiem razie następuje deprawacja moralna tych, co zasiłki otrzymują. Niewątpliwie, sprawa ta nasuwa wiele zastrzeżeń; wymieńmy chociaż jedno: ponieważ człowiek pracujący wymaga obfitszego pożywienia, używa wydatniej ubranie i obuwie niż bezrobotny, przeto winien on uzyskać w porównaniu z „zasiłkiem“ odpowiednio więcej; sprowadza to daleko idące komplikacje budżetowe i kolejne trudności w udzielaniu pracy i zasiłków. Nie możemy w tem miejscu rozstrzygać tych trudności. Nie są one jednak nie do zwalczenia, a względy wychowawcze mają w dalszych swych skutkach duży wpływ na stosunki gospodarcze. Ludność bowiem jest pierwszorzędnym czynnikiem bogactwa i dobrobytu ogólnego, a jej stosunek do pracy—to w przyszłości los naszego stanu ekonomicznego. Znane są wypadki poprzestawania przez bezrobotnych na głodowych zasiłkach i opornego ich stanowiska do pracy. Z drugiej zaś strony w dużej mierze sami bezrobotni domagają się pracy, zasiłki zaś i „zupki“ drażnią ich ambicję i rodzą gorzkie przekonanie o własnej nieprzydatności społecznej. Stwarza to doskonałe podłoże pod wszelkie wywrotowe agitacje.

Przy powyższych założeniach (udzielenie bezrobotnym przez państwo i samorządy pomocy i to w postaci zorganizowania dla nich terenów pracy) powstaje pierwszorzędne zagadnienie celowości tej pracy. Państwo idzie w danym wypadku po linji podniesienia ekonomicznego całego kraju przez inwestycje komunikacyjne, meljoracyjne etc. Obok tego jednak, wobec małej możności nabywczej tych „półpracujących“ bezrobotnych, trzeba przeprowadzić takie prace inwestycyjne, które dawałyby pewną korzyść bezpośrednio samym bezrobotnym. Nie myślimy tu omawiać zawiłego problemu t. zw. zamkniętych cyklów gospodarczych, czyli koncepcji, wedle której pewne grupy bezrobotnych produkowałyby wszystkie najważniejsze środki potrzebne im do życia, przy zachowaniu jednak pewnego podziału pracy. Zastosowanie na szerszą skalę takiej „autarkji“ samodzielnych grup bezrobotnych nie wydaje się przekonywujące. Chodzi nam w tej chwili o rzecz znacznie większą. Wśród potrzeb bezrobotnego mieszkanie jest jedną z ważniejszych. Mimo ochrony ustawowej bezrobotny musi nieraz płacić wygórowane (jak na swe środki) komorne za mały pokoik gdzieś na poddaszu lub zapleśniałą zatęchłą piwnicę. Nie mogąc dać sobie rady, mimo iż na każde płuco członka rodziny wypadnie niewiele co więcej ponad parę metrów sześciennych powietrza, przyjmuje sublokatorów i w ciasnej izbie gnieździ się nieraz po kilkanaście osób. Cóż mówić o zdrowiu fizycznem i moralnem!

Samorządy miejskie walczą z bezrobociem przedewszystkiem na drodze większych inwestycyj. Inwestycje te, nieraz bardzo celowe i potrzebne w czasach normalnych, są krzyczącą niesprawiedliwością w okresach masowego, jeśli nie głodu, to głodzenia się. Asfaltowanie ulic, zakładanie parków, przeprowadzanie bulwarów, wznoszenie reprezentacyjnych budowli—są to rzeczy piękne, ale na miły Bóg!—w dzisiejszych warunkach wcale nie pierwszoplanowe. Kierownicy samorządów miejskich mają dostojny tytuł ojców miasta, wymawiany zresztą przeważnie w tonie ironicznym. Winni oni (wespół z państwowemi organami pomocy bezrobociu) z powagą ten tytuł traktować i nie być ojczymami dla tych, którzy najbardziej opieki ich potrzebują. Dziś ruch budowlany, zwłaszcza budownictwo drewniane stosunkowo najłatwiej może być sfinansowane. Byłoby rzeczą piękną rozpoczęcie akcji budowlanej dla dania pomieszczenia tym, którzy pomieszczenia tego potrzebują najbardziej, a więc bezrobotnym z licznemi rodzinami. Tu i ówdzie daje się bezrobotnym niewielkie działki ziemi na ogrodowiznę. Połączenie tej akcji z akcją budowlaną, budowa małych domków bliźniaczych (po cztery mieszkania) z ogródkami, z pewnem minimalnem zapoczątkowaniem inwentarza żywego (kury, króliki)—to byłaby rzecz niesłychanie ważna. Ostatecznie zbudowanie odpowiedniej ilości porządnych baraków, rozbitych na poszczególne izby-mieszkania byłoby programem minimalnym. Tu i ówdzie dałyby się napewno dostosować do powyższego celu różne, istniejące już a niezużytkowane mury i gmachy.

Korzystanie z tych osiedli nie mogłoby być w żadnym razie bezpłatne. Należałoby jednak wprowadzić opłaty w naturze, t. j. w pracy lokatorów, z wyjątkowem tylko zamienieniem jej na opłatę gotówkową.

* * *

Artykuł dzisiejszy nie wnosi twierdzeń rewelacyjnych. Jest tylko głosem, wołającym o naprawę sytuacji o niezaspakajanie sumień statystyką kuchni filantropijnych i wydanemi w nich „zupkami“. Są one rzeczą ważną i czcigodną, ale nie wyczerpują zagadnienia. Zasadniczą tezą PAX-u w kwestji społecznej jest: miłosierdzie i akcja charytatywna ma zaspokoić potrzeby tych, co pracować nie mogą, sprawiedliwe zaś urządzenie stosunków społecznych winno zabezpieczyć byt ludzi zdrowych i pracować mogących przez dostarczenie pracy, któraby im dała konieczne środki utrzymania *). Pamiętajmy, że zdobywanie tych środków drogą własnego wysiłku jest prawem każdego człowieka, którego odeń odebrać nie można, jest równocześnie jednym ze środków duchowego doskonalenia się człowieka. Z drugiej strony ciężka sytuacja głodujących mas wymaga czasowego stosowania półśrodków. Półśrodkiem, ale półśrodkiem koniecznym byłoby spełnienie postulatów niniejszego artykułu w kwestji mieszkaniowej.

*) W tej kwestji odsyłamy czytelnika do artykułu (Jana Frankowskiego z numeru 4 b. r. p. t. „Sprawiedliwość i miłosierdzie a kwestja społeczna“.



G. A.-Achremowicz

Św. Łukasz malujący N. M. Pannę
(drzeworyt oryg.)

SPRAWY ZAGRANICZNE

Z powieści sowieckich o wojnie i pokoju

1

Rewolucja bolszewicka w Rosji wyrosła z niechęci do wojny. Ale te same masy żołnierskie, które wpierw tak gwałtownie domagały się pokoju, nieco później nie odmówiły udziału w równie krwawych, a więcej może bolesnych, bo bratobójczych, walkach o utrzymanie władzy rewolucyjnej. Jeśli więc u początków ruchu rewolucyjnego tkwiły czynniki nastroju pacyfistycznego, to w dalszych jego etapach musiano zrezygnować z tego zasadniczego wpierw hasła ruchu.

Skoro więc wojna jest tak ważnym czynnikiem życia w Z. S. S. R., to i nie dziw, że motyw jej wszechwładnie wtargnął do kart współczesnej beletrystyki sowieckiej. A mowa tu nietylko o powieściach, całkowicie poświęconych wojnie światowej (j. np. K. Fiedina: „Miasta i lata", Tichonowa: „Wojna" i in.) i porewolucyjnej wojnie domowej (Fadiejewa: „Razgrom", Furmanowa: „Bunt", Dorochowa: „Kołczakowszczina", Serafimowicza: „Żelaznyj potok", Tarasowa - Radjonowa: „Liniew" i in.), ale też i cały szereg utworów, w których mimo, że czas akcji znacznie odbiega od lat wojny, motyw jej jednak zjawia się raz po razu najczęściej jako t. zw. „vorgeschichte" w formie bądźto listów, bądź wspomnień, bądź też bezpośrednich relacyj autora, jak np. w „Siestrach" Wieresajewa, „Skutarewskim" Leonowa, „Zoranym ugorze" Szołochowa i w tylu innych powieściach, których niesposób tu przecie wyliczyć. Tak jedną, jak i drugą grupę tych powieści możnaby podzielić na dwie kategorje: 1) tych, które do wojny ustosunkowują się negatywnie i 2) tych, w których wojna przedstawiona jest jako pole pięknych, heroicznych zmagań się człowieka.

Wśród powieści tej pierwszej grupy niewielu jest takich, któreby swój negatywny stosunek do wojny wywodziły ze względów ogólnoludzkich, humanitarnych. Z książek wyżej wspomnianych możnaby tu przytoczyć jedynie chyba Fiedina „Miasta i lata". Znacznie więcej jest takich powieści, w których ten negatywny stosunek do wojny wypływa ze względów klasowych, z przekonania, iż wojna uderza przedewszystkiem w jedną warstwę społeczną, składającą się z ludzi niezamożnych i powinna być usunięta tak samo jak i każda inna krzywda społeczna. Tego rodzaju powieści ze szczególnym naciskiem podkreślają niedołęstwo, nieudolność i głupotę oficerów, jako główną przyczynę niedoli szarej masy żołnierskiej. Tak jest np.: u Aleksiejewa: „Rok 1907", w niektórych wspomnieniach „Zoranego ugoru" Szołochowa i w in. utworach. Rzecz oczywista, że z usunięciem tej jedynej rzekomo przyczyny utrapień żołnierzy wojna traci dla bolszewików cały swój charakter krzywdy społecznej, a wyrasta na bohaterską walkę o zwycięstwo haseł socjalizmu. To też w tymże samym „Zoranym ugorze" Szołochowa spotykamy fanatyka nowego ustroju, Nagulnowa, który z mistyczną niemal tęsknotą marzy o chwili, kiedy powtórnie dobędzie szabli, tym razem w obronie wszechświatowej rewolucji.

Kult heroizmu czynów wojennych krzewi się przedewszystkiem na kartach powieści, pozytywnie odnoszących się do wojny. Przybiera on najróżnorodniejsze formy: od zobjektywizowanych epickich opowiadań czyto w grafomańskiej, koturnowej książce Dorochowa p. t.: „Kołczakowszczina", czy też w pięknej, realistycznej powieści Fadiejewa p. t.: „Razgrom"—poprzez osobiste wspomnienia, nasycone nieraz dużą dozą liryzmu tego, co się kiedyś przeżyło górnie, a chmurnie, jak np. w powieściach Wieresajewa („Siostry"), Leonowa („Skutarewskij"), Szołochowa („Zorany ugór") i in.,—aż do historycznej, objektywnej ścisłości pamiętnika, składającego się ze wspomnień, odezw, listów, rozkazów i in. pamiątek, jak to jest np. w książce Furmanowa p. t.: „Bunt". Ten zachwyt wobec czynów walki orężnej najdobitniej może ujawnia się w powieści Fadiejewa, który pięknym, bohaterskim postaciom Lewinsona, Bakłanowa, Mietielicy i in. przeciwstawia Mieczika tchórzliwego, nieopanowanego inteligenta - fanfarona. Uczestnicy wielkiej wojny światowej chodzą zwykle w takich powieściach w aureoli krzywdy i cierpienia, a bohaterowie walk o zwycięstwo rewolucji—w blaskach chwały wojennej i jakby ze szczególnym paszportem, uprawniającym ich do korzystania z wszelakich ulg i przywilejów. Odnosi się to w pewnej mierze nawet do tych, którzy z biegiem czasu utracili swą prawomyślność. Oto zebranie włościan w „Zoranym ugorze" Szołochowa przez dłuższy czas waha się przed powzięciem decyzji „rozkułaczenia" zbogaconego włościanina, ongiś bojownika o utrzymanie się władzy rewolucyjnej, a Czerimow w powieści Leonowa p. t. „Skutarewskij" jedynie ze względu na koleżeństwo broni w walce domowej nie reaguje energicznie na postępowanie Arsenjusza.

2

Ale ten kult bohaterstwa krwawych czynów wojennych nie da się uzgodnić z humanitaryzmem teoretycznych podstaw komunizmu. I konflikt ten mimowoli wypłynął na jaw w utworze TICHONOWA p. t. „WOJNA". W przedmowie do tej powieści autor nazbyt skwapliwie odżegnywuje się od jakichkolwiek tendencyj pacyfistycznych, oświadczając, że pisał ją jedynie ku przestrodze Rosji sowieckiej przed niebezpieczeństwem przyszłej wojny, grożącej jej niechybnie od uzbrajających się państw Zachodu. Ale to teoretyczne stanowisko Tichonowa bynajmniej nie zostało urzeczywistnione w praktycznym wyniku jego literackiej pracy, powieść bowiem stała się wyłącznie niemal opowiadaniem o różnorodnego rodzaju udrękach, jakie nieodwołalnie niesie ze sobą każda wojna. I sam autor zdawał sobie bodaj z tego sprawę, skoro w przedmowie usprawiedliwia się, że, opowiadając o wojnie światowej niesposób mu było pominąć zagadnienia światowej doli proletarjatu. Ale usprawiedliwienie to bynajmniej nie jest wystarczające, gdyż w powieści Tichonowa udręki wojenne znoszą nietylko przedstawiciele proletarjatu, ale i warstwy wyższe, ludzie, stojący na czele narodu i trzymający w dłoni ster wszystkich spraw w państwie.

Do takich przecie należy prof. Faber, głównytwórca gazów trujących, który pomimo, że nic go nie obchodzi cały świat, znajdujący się poza granicami jego instytutu i że wojnę gazową prowadzi z zamiłowania, z zadowoleniem wyszukując godnego siebie przeciwnika, jednak odczuwa dokuczliwe wyrzuty sumienia, usymbolizowane w postaci maleńkiej, szarej plamki, zjawiającej się stale w polu widzenia profesora.

Ale takie zakończenie sprawy byłoby przecie równoznaczne z potępieniem pracy prof. Fabera i bynajmniej nie stanowiłoby zachęty dla uczonych Z. S. S. R. do podjęcia podobnych przygotowań na wypadek nowej wojny. To też Tichonow natychmiast aplikuje profesorowi lekarstwo. Oto prof. Faber wchodzi do kamery, wypełnionej gazem, który według doświadczeń asystenta jest śmiertelny, ale według jego własnych przekonań może człowiekowi tylko lekko zaszkodzić. I czyni to nietyle w celu definitywnego rozstrzygnięcia sprawy, ile raczej poto, aby pozbyć się raz wreszcie owej dokuczliwej, szarej plamki w polu swego widzenia.

Środek ten w powieści okazuje się naprawdę skuteczny: profesor wskutek działania gazu traci wprawdzie na krótko przytomność umysłu, niemniej jednak szara plamka znika na zawsze. Ale zjawisko to — ze względów psychologicznych—nie wydaje się prawdopodobne, trudno bowiem uwierzyć, aby bezcelowa, nikomu niepotrzebna fanfaronada, czem niewątpliwie był czyn prof. Fabera, wystarczyła myślącemu, rozumnemu człowiekowi jako forma dostatecznego zadośćuczynienia za popełnione winy. I dlatego powieść Tichonowa sprawia raczej wrażenie mimowolnej, nieświadomej propagandy idei pokoju.

3

Obok tego mimowolnego pacyfizmu zdarza się również w powieściach — a bodaj i w rzeczywistości sowieckiej—pacyfizm świadomy, celowy, jednak jakże odmienny od tego, co zwykle rozumiemy, wymawiając to słowo. Pośrednio wynika on także z troski o przyszłą wojnę, z pragnienia wywołania wszechświatowej rewolucji społecznej, do czego w pierwszej mierze ma doprowadzić wykonanie na wszystkich odcinkach pracy planu „piatiletki”. Ale tej przygotowawczej, pokojowej pracy przeszkadza nadmierny, wyłączny kult heroizmu czynów wojennych, który blaskiem swym zaćmiewa coraz bardziej szarą, codzienną rzeczywistość sowieckiego życia, pogrążając je w beznadziejnej nudzie i martwe ospałości.

Taką właśnie atmosferę wśród czołowej młodzieży komsomolskiej, która podświadomie nieraz tęskni do sławy wielkich czynów wojennych, pogardzając jednocześnie wynikami codziennej, zawodowej pracy, przedstawia w ostatnim swym utworze („Siostry“) WIERESAJEW. I nie dziw, że niektóre postaci jego powieści, pragnąc wzbudzić entuzjazm zwykłej, powszedniej pracy, starają się przeciwstawić sławę czołowych „udarników”—nadmiernemu kultowi bohaterów wojny przez celowe nieraz pomniejszanie niektórych jej epizodów.

„Co tu taić!—powiada tam Czugunow o ostatniej wojnie o władzę w Rosji. — Wiecie, jak się odbywały wtedy boje? Trzy dni strzelaniny i ani jednego zabitego ani z jednej, ani z drugiej strony. Zwyciężał ten, komu się udało wcześniej ogłuszyć przeciwnika wystrzałami...” i t. d. (str. 25). Gdzie indziej znów jedna z głównych bohaterów powieści, Lolka, w ten sposób odzywa się do tłumu: „Towarzysze, czasami słyszę, jak mówicie: „Ech, urodziliśmy się za późno. Gdyby tak o 10 lat wcześniej, kiedy toczyła się wojna na wszystkich frontach...! To było prawdziwe życie, a teraz wszystko jest bezbarwne i szare!... O wiele ciekawiej byłoby walczyć w kawalerji Budiennego...”. A ja, myśląc o naszych czasach, mówię sobę: co za niezwykłe szczęście żyć właśnie teraz!... Jak wesoło, jak przyjemnie jest pracować!.. W tej chwili nie są nam potrzebne zuchwałe wywiady, narażanie życia, walka powietrzna z aeroplanami! Nie! Teraz musimy siedzieć pochyleni nad kawałkiem gumy z nożykiem w ręku i myśleć, żeby podeszwa była dopasowana do kalosza. Musimy przejąć się hasłem:

„Sumiennie pracować nad gumą — zasługa to niemała!

Wykonawcy dobrego kalosza—cześć i chwała!”.

Pamiętajcie, towarzysze, że na tym froncie wytwórczości zdobywamy nie bylejakie pozycje, lecz właściwą, główną twierdzę!.. (str. 272 — 273). Ale i tu natychmiast powstaje reakcja przezorności, pragnienie zabezpieczenia się na wszelki wypadek, obawa czy aby ten pacyfizm nie poszedł już za daleko—i dlatego członek komitetu dzielnicowego — a więc przedstawiciel oficjalny władzy — w ten sposób zwraca się potem do Lolki: „Mówiłaś bardzo ładnie, to prawda. Tylko niepotrzebnie odezwałaś się z takiem lekceważeniem o zuchwałym wywiadzie i walkach w powietrzu. Niewiadomo, czy lada dzień znowu nie trzeba będzie zabrać się do tego”.

W rezultacie zatem książka Wieresajewa zawiera nietyle przeciwstawienie zasługom czynów wojennych—ideału szarej, codziennej pracy—ile raczej podniesienie jej do godności bohaterskiego działania na polu bitwy, zrównanie entuzjazmu pracy z entuzjazmem walki orężnej.

Zdaje się również, że jedynie w ten sposób należy rozumieć owe pacyfistyczne dążenia Z. S. S. R., tak silnie podkreślane ostatnio przez oficjalne władze sowieckie. Z krwawych pól bitewnych przeniesiono chwilowo walkę w dziedzinę ekonomicznej i gospodarczej rywalizacji, w formę cichych, a trwałych i niezmordowanych przygotowań do przyszłej, wszechświatowej rewolucji społecznej.

Czesław Zgorzelski.

PIÓREM I SZYDŁEM

Honor kodeksów

Pomimo szeregu ataków, jakim podlegało postępowanie honorowe, pozostaje ono w dalszym ciągu nienaruszonem towarzyskiem i „dżentelmeńskiem” tabu. Niezadowoleni pokłócili się i pogodzili się na zasadach „obowiązujących” kodeksów honorowych, jak zwykle ku honorowi wszystkich osób, biorących udział w zatargu, zaś tabu pozostało w całości i wciąż pozostaje stekiem chińskich ceremonij, otoczonym chińskim murem dobrego tonu. Że jednak każda szklanka wody ma swoje burze, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się sposobowi likwidowania tych burz.

Pan A miał nieszczęście nadużyć napojów wyskokowych i w tym stanie umysłu zadrasnął boleśnie poczucie honoru pana B, wypowiadając znaną i często używaną nazwę zwierzęcia domowego. Ponieważ pan B niemniej popierał monopol spirytusowy, oburzenie jego nie miało granic i wyraziło się w słowach zapożyczonych z języka rosyjskiego i dobitnie odmalowujących jaźń psychiczną, wygląd zewnętrzny oraz genealogję pana A. Ponieważ znów pan A zdążył w tym czasie supernadużyć możności używania alkoholu, ręce jego znalazły się w niejakiej styczności z różnemi częściami ciała pana B, skutkiem czego obaj panowie wymienili bilety wizytowe, poczem wstrzymali się od dalszej wymiany zdań na jakiekolwiek bądź tematy. Nazajutrz dwaj zastępcy pana B zjawili się w ciemnych garniturach do pana A i, nie podając mu ręki, atoli w bardzo grzecznym tonie, prosili go o wyznaczenie swoich zastępców, celem udzielenia satysfakcji panu B. W toku rokowań zastępcy pana A wyrazili przedewszystkiem przypuszczenie, że pan B nie jest szlachcicem, co oczywiście wywołałoby niemożliwość udzielania tak nisko postawionej osobie satysfakcji. Ponieważ zarzut ten został usunięty przy pomocy bakterjologicznej analizy składu krwi pana B, która to analiza wykazała obecność w jego krwi błękitnych ciałek, zastępcy pana A na kolejnych posiedzeniach wyrażali podejrzenia, że pan B jest księdzem, że jest kobietą, że jest notorycznym oszczercą i paszkwilantem oraz zdezerterował z wojska polskiego. Jak wiadomo, wszystkie te okoliczności są jednakowo hańbiące i wykluczają zdolność honorową pana B. Niestety po każdej ekscepcji powoływany Sąd

Honorowy w składzie superarbitra i dwóch arbitrów był zmuszony wyjaśnić, że pan B, o ile można sądzić z zaświadczenia Kurji Metropolitalnej i metryki chrztu, nie jest ani księdzem, ani kobietą, ani żydem (na wszelki wypadek), że z wojska prawdopodobnie nie dezerterował, jakoże jeszcze oczekuje nadejścia wieku poborowego. Co zaś do rzekomego zajmowania się pisaniem paszkwilów i miotania oszczerstw, Sąd Honorowy zajął stanowisko, że każde z tych zajęć wymaga pewnego stopnia inteligencji, dowcipu i finezji, o które to przymioty, sądząc z wrażeń osobistych, pana B posądzić niepodobna.

Na następnych posiedzeniach zastępcy honorowi ustalili stopień obrazy i zamierzali właśnie przystąpić do dalszych czynności, gdy zastępcy pana B stwierdzili, że zastępcy pana A spóźnili się na posiedzenie o 2 minuty 17 sekund, wobec czego zakrzątnęli się i sporządzili protokół, jednostronny, pozbawiający czci i honoru pana A. W wyniku tego protokółu pan A wytoczył dwie sprawy honorowe obu swoim zastępcom, z których każda wymaga opisu równie długiego, jak powyższy. Dla skrócenia opowiadania pomijamy te okoliczności i przechodzimy ad rem w momencie, gdy pan A oczyścił się ze skutków protokółu jednostronnego. W tym to momencie odbyło się następne zebranie zastępców stron obu, na którem stwierdzono niezbicie, że pan B został obrażony czynnie, wobec czego, powstała stąd na jego honorze plama, daje się zmyć wyłącznie krwią i to nie inną, jak tylko z ciała pana A. Wniosek ten sprawił wszystkim zastępcom honorowym olbrzymie zadowolenie, wobec czego dla zachowania form kodeksowych poczynili pewne starania celem niedopuszczenia do pojedynku, wyjaśniając ponadto stronom, że w wypadku obrazy trzeciego stopnia, jaka ma miejsce w danej sytuacji, rozprawa orężna jest konieczna. Pokojowa działalność sekundantów nie ustała nawet na placu, gdzie strony zostały wezwane do pogodzenia się. Panowie A i B jednak, snadnie przypuszczając, iż pogodzenie się mogłoby przedłużyć jeszcze postępowanie honorowe, woleli ująć losy sprawy w swoje ręce i bohatersko wystrzelili po trzy dziury w powietrzu każdy. W ten sposób sprawa się zakończyła ku honorowi stron obu i ku zmartwieniu zastępców. Rzecz jasna, że nie zakończyły się jeszcze, a nawet osiągają dalszy wspaniały rozwój sprawy, wynikłe z protokółu jednostronnego. Jak wiadomo bowiem, każdy protokół jednostronny powoduje dwie nowe sprawy honorowe, ponieważ każda z nich również przechodzi fazę protokółu jednostronnego, powstają cztery sprawy jeszcze nowsze i tak dalej aż do chwili, kiedy całe społeczeństwo szlacheckie zostanie objęte siecią spraw honorowych.

Nie mamy ochoty walczyć o wprowadzenie zmian do istniejących kodeksów honorowych, byłoby to podkreślaniem ich mocy obowiązującej, a wątpię, czy komukolwiek zależy na mocy obowiązującej nonsensu. Nawet kobiety, w myśl przyjętych zasad pozbawione honorowości, nie strzępią wcale języków o „uhonorowienie“, co zresztą tylko częściowo jest spowodowane pogardą dla konwenansu, a częściowo z pewnością wygodną nieodpowiedzialną sytuacją w obecnym stanie rzeczy. Obecny konwenans obrony czci dyskwalifikuje się sam przez się, uzależniając tę obronę od okoliczności przypadkowych, od „urodzenia“, „stanu“ i t. p. ważnych momentów. Zależy mi tylko na podkreśleniu niezwykłej dyscypliny poczucia ładu, powiedziałbym: poczucia prawnego naszego społeczeństwa, które tak niedoskonałemu konwenansowi poddaje się bez szmeru protestu i stosuje go z zapałem godnym najlepszych ustaw. Nie wątpię, że stosuje go nawet uczciwiej, niż wiele ustaw państwowych.

Co tu mówić o polskiem warcholstwie? Trzeba tylko, abyśmy się wczuli w pewien porządek, abyśmy go duszą przeżywali, a wtedy świat pozna, że i w Polsce jest poszanowanie dla zwyczajowych nawet norm. I niema co zwracać uwagi na sensowość tych norm, grunt, nie czepiać się do drobiazgów. Sam obraz najwyższych sfer społeczeństwa, chętnie i z pogwałceniem własnego zdrowego rozsądku poddających się uświęconym zwyczajom, napełnia nasze serca otuchą i z nadzieją każe patrzeć w przyszłość.

C. J. F.

SZKOŁA I NAUCZYCIEL

Programy i kultura zachodu

Jan Parandowski umieścił w swoim czasie w „Wiadomościach literackich“ (nr. 3 b. r.) artykuł o nowych programach szkolnych oraz o istniejących wówczas podręcznikach p. t. „Zmierzch historji powszechnej“, w którym ocenia je ujemnie ze względu na ubóstwo wiadomości, jakie uczeń wyniesie ze szkoły z zakresu dziejów powszechnych. Dziś możemy o tej kwestji mówić na podstawie rocznej praktyki szkolnej i na podstawie realizacji programów przez podręczniki z historji na klasę drugą. Niestety to, co głosił program, zostało z niezwykłą gorliwością spełnione przez autorów pod, ręczników. Obcięto z dziejów powszechnych wszystko co się dało. Uczeń, który skończy gimnazjum, a więc będzie miał średnie wykształcenie, cóż za pojęcie wyniesie o dziejach powszechnych, o kulturze zachodniej, jakże potrafi związać się z nią bliżej, skoro wiadomości są więcej niż szczupłe i niemal całkowicie podporządkowane dziejom Polski. Nie chodzi nam w tej chwili o charakterystykę szczegółową. Chcemy zwrócić przedewszystkiem uwagę na jeden skutek zaniedbania *głębszego* zaznajomienia uczniów z kulturą Zachodu: oto na Wschodzie powstaje mit obezwartościowujący wszystko, na czem wspiera się gmach naszego życia kulturalnego. Cóż mu potrafimy przeciwstawić, jeśli nie długoletni wysiłek Zachodu w jego najpiękniejszych przejawach duchowych; a może przeciwstawimy mu to, co rozwinęło na Zachodzie mieszczaństwo XIX-ego i XX-ego wieku z jego atmosferą giełdy i kabaretu, która coraz szerszą falą wlewa się do Polski. Dzień dzisiejszy potrzebuje wzorów wielkości i poświęcenia, miłości i bohaterstwa. Zapewne, dzieje ojczyste wiele dadzą przykładów godnych naśladowania; ale pamiętajmy, że jesteśmy jednem ogniwem łańcucha kultury zachodniej. Podręczniki podkreślają nasz związek z Zachodem, lecz jakże mało mówią o *wartości* tego związku, o jego głębi.

To cośmy napisali wyżej — to ordynarny truizm. Niestety, dla wychowanków nowych programów historji mowa o wartości kultury zachodniej bodaj że nie będzie truizmem; jakże mizerna bowiem będzie ich wiedza o tej kulturze.

aga.

CUI BONO?

Na początku b. r. szkolnego zaczęło wychodzić pisemko p. t. „Nasza praca“, zastępujące całkowicie podręczniki do II kl. szkoły powszechnej. Kuratorjum wileńskie wprowadziło je we wszystkich szkołach typu miejskiego. Pisemko redagowane było żywo i ciekawie, nauczycielstwo przyjęło je b. życzliwie, dla dzieci było nielada atrakcją. Nagle grom z jasnego nieba—okólnik z Ministerstwa: przerwać robotę, kazać dzieciom kupować podręczniki. Przyjeżdżał nawet pan delegat z ministerstwa, rzecz obejrzał, ale zakazu nie cofnął. Pytamy: w czyim *interesie* leży ta decyzja? W każdym razie nie dziatwy i nauczycielstwa. To pewne. *Ż.*

CZASOPISMA

Walka z molochem techniki

1.

Kiedy nowoczesna technika stawiała pierwsze swe kroki, iluż to myślicieli i iluż fantastów wierzyło, że przyniesie ona wybawienie od wszystkich nieszczęść, które ludzkość trapią. Wierzono, że przy pomocy techniki człowiek ostatecznie opanuje przyrodę, że usunie nędzę i niedostatki, że czas uzyskany dzięki pracy maszyny będzie mógł poświęcić na twórczość duchową. Tymczasem technika, rozwinięta dzisiaj w stopniu nieprawdopodobnym nawet dla owych fantastów, nietylko nie spełniła zadań jej stawianych, lecz coraz bardziej zaczyna rozciągać swe panowanie nad jej twórcą i rzekomym panem—nad człowiekiem.

Dziś budzą się głosy ostrzeżenia. Ostatnio w „Pionie" ukazał się szereg artykułów Bogdana Suchodolskiego, poświęconych kwestji omawianej. Autor nie zaprzecza, iż technika posiada szereg wartości dodatnich, że wiele zarzutów przeciw niej wytaczanych jest kierowanych pod fałszywym adresem. Ale technika stanowi duże niebezpieczeństwo dla kultury. Kultura bowiem nie jest rzeczywistością, istniejącą samo przez się. Istnieje — ale może ulec łatwo zniszczeniu. Barbarzyństwo lub degeneracja grożą zawsze każdej, najszlachetniejszej nawet kulturze. O losie bowiem każdej kultury decyduje postawa ludzi wobec życia. Na postawę tę ma olbrzymi wpływ otaczająca nas rzeczywistość, do której tak czy inaczej ustosunkowujemy się, wobec której przybieramy taką czy inną postawę. Ale otaczająca nas rzeczywistość nie jest jednolita. Najsilniejszy zaś rezonans wzbudzaja w naszej psychice te formy otaczajacej nas rzeczywistości, które uchodzą w danej epoce za najbardziej zwycięskie. Zwycięska dziedzina życia pragnie narzucić swój typ myślenia i odczuwania wszystkim, dąży do osiągnięcia jednolitości kultury. Dziś — jak niegdyś np. świętość lub rycerstwo — technika jest tą najoczywistszą, najpopularniejszą, najbardziej niewątpliwą w swoich zwycięstwach postacią ludzkiego działania. Widzimy też, że opanowuje ona różnorodne dziedziny kultury, że wciska się wszędzie i wszędzie narzuca swój typ. Ta supremacja techniki posiada wiele ukrytych niebezpieczeństw dla kultury; Suchodolski wylicza je i uzasadnia. Nie będziemy streszczali tutaj wszystkich jego wywodów, odsyłając ciekawych bezpośrednio do omawianych artykułów. Niesposób jednak ominąć jednego: dzięki technice wykształca się w ludzkości produktywistyczna postawa wobec życia. Dziś panuje hasło możliwie wzmożonej, wytężonej produkcji jako naczelnej wartości indywidualnej i społecznej. Pełen patosu kult pracy ma zachęcić i porwać człowieka do radosnego spełnienia roli wytwórczej i skłonić go do wyrzeczenia się wszelkich „nieprodukcyjnych" form czucia i działania. Odbiorczy stosunek do życia i jego dóbr zostaje potępiony jako pasorzytnictwo, niegodne człowieka. Konsumpcja dóbr wytworzonych jest oceniana nie wedle jego potrzeb, lecz wedle otwarcia nowych możliwości produkcyjnych przez zniszczenie wyprodukowanego „zapasu" czy „nadmiaru". W ten sposób w imię zbytu następuje deprawacja potrzeb. Ludzie stają się rynkiem handlowym: aby wytworzyć pomyślną konjunkturę dla przygotowanych produktów można i trzeba apelować do wszelkich instynktów dobrych i złych, do wszelkich żądz, do wszelkich rodzajów ambicyj i naśladownictwa. Nawet produkty szkodliwe dla zdrowia fizycznego lub duchowego mają znaleźć nabywców: trzeba zaszczepić w duszach ludzkich szkodliwe pożądania, osłabić naturalną samoobronę przed złem. Wykształca się paradoksalna sytuacja: ludzie oduczają się wytwarzać to, czego sami pragną, przyzwyczajają się natomiast pragnąć tego, co inni produkują i podsuwają im do użytku.

W ten sposób, zaprzeczając wartości odbiorowi twórczemu, czyli polegającemu na głębszem zżyciu się z przedmiotem „odbieranym", produktywizm rodzi ideę bezmyślnej konsumpcji: wszystko, co zostało wytworzone, winno być tak czy inaczej skonsumowane, dlatego że zostało wytworzone, że nagromadzenie nieskonsumowanych produktów hamuje dalszą produkcję. Dzięki produktywizmowi stajemy się powierzchownymi konsumentami i zatracamy zdolność głębszego wykorzystywania dóbr stworzonych t. j. kształcenia się. Idea kształcenia określa właściwy stosunek człowieka do wytworów kultury, właściwą formę korzystania z nich i przyswajania ich sobie. Ale proces kształcenia wymaga wiary w wartość trwalszą niż prawo podaży rzeczy aktualnych; wymaga zespolenia się indywidualności z przedmiotem, a nie zapoznania się tylko i przyjęcia czegoś do wiadomości, aby rychło zapomnieć.

Przyzwyczajenie do powierzchownej konsumpcji zabija w naszej epoce zdolność kształcenia się na tworach kultury. W dodatku produktywizm ze swą typowa cechą przejściowości i chwilowości wszystkiego, co zostało wyprodukowane, zabija w człowieku twórczość, która winna być oparta na tem, co jest stałe, t. j. na wartościach nie ulegających fluktuacjom rynku i mody.

2.

Ten atak Suchodolskiego na produktywizm wywołał reakcję. Dyskusję podjął Józef Chałasiński po świeżym powrocie z kraju produktywizmu t. j. z Ameryki. Broni on produktywizmu przedewszystkiem za to, że produktywizm prowadzi do demokracji, do legitymowania się tem, co człowiek zrobić potrafi (jak jest w Ameryce), nie zaś tem, kim jest jego tatuś i mamusia, czyli „kto go rodzi" (jak jest u nas). Główne zaś zarzuty Suchodolskiego mają dotyczyć nie produktywizmu, lecz kapitalizmu. Kapitalizm (i związana z nim żądza zysku) przyczynił się do traktowania człowieka jako przedmiotu, umożliwiającego przez konsumpcję nową wytwórczość. Kapitalizm obezwartościowił te dziedziny życia, które w rachunku zysków i strat dają bilans ujemny. I kapitalizm, nie produktywizm, winien znaleźć swoje przeciwstawienie jako ideał społeczny i wychowawczy.

Takim ideałem jest dla Chałasińskiego produktywizm, ale produktywizm „uspołeczniony". Chałasiński nie precyzuje bliżej zagadnienia, ale z wywodów jego wynika, że chodzi o tego typu nastawienie produktywistyczne, przy którem wytwarzanie odbywałoby się nie ze względu na zysk, lecz ze względu na dobro i potrzeby społeczeństwa. Tego rodzaju ideał należy postawić młodzieży w Polsce, by wyrwać ją z apatji, w jakiej młodzież ta tkwi.

Suchodolski nie broni kapitalizmu. Twierdzi jednak, że gdyby nawet usunięto jako motyw wytwarzania żądzę zysku i użycia, nastawienie produktywistyczne, czyli uważające produkcję za cel życia człowieka na ziemi („żyjesz poto, abyś wytwarzał") byłoby wysoce niebezpieczne dla kultury. Istnieją bowiem dwie strony życia ludzkiego, dwa nastawienia: pęd do twórczości i wola wewnętrznego kształcenia się. W idealnym wypadku obie strony ze sobą się pokrywają: prawdziwie głęboka twórczość jest dla twórcy kształcąca, wszelkie zaś głębsze i trwalsze kształcenie opiera się na rozbudzeniu zdolności twórczych. Ale to sprzężenie kształcenia i tworzenia ostaje się tylko tak długo, jak długo życie ma właściwą głębię. Gdy się obniża jego poziom, gdy człowiek staje się bardziej powierzchowny, wówczas rozrywa się ta więź obustronna i powstają dwa szeregi zjawisk niepokojących: tworzenie przestaje kształcić twórcę i opada na poziom produkcji, kształcenie zaś przestaje pogłębiać twórczość i staje się martwiejącą kontemplacją. W pierwszym wypadku zatraca się człowiek w działaniu, w drugim — w bierności. Produktywizm jest właśnie cechą życia spłyconego, objawem zerwania więzów między tworzeniem i kształceniem, wyrazem jednostronnie pielęgnowanego aktywizmu. Owa postawa produktywistyczna, przy której człowiek widzi własną wartość tylko jako wytwórcy (i to wytwórcy przedewszystkiem ilościowego) spłytcza go niepomiernie, miast bowiem kształcić i rozwijać jego osobowość, wszystkie wysiłki jego skierowuje nazewnątrz, na seryjne wytwory; człowiek spala się w tem powierzchownem płytkiem życiu, gdzie cały jego wysiłek jest skierowany ku zagadnieniu: ile maszyn, ile butów, ile książek zdoła on stworzyć w ciągu swego życia. O jakichkolwiek wartościach wewnętrznych rychło zapomina, lekceważy je i pomija.

W NASTĘPNYCH NUMERACH PAX-u m. i. O. F. Muckermann — Myśli o europejskiem zadaniu Polski. X. dr. Leon Puciata—Chrześcijańskie podstawy kultury. H. Wężyk-Widawska — Maritain. Cykl artykułów p. t. Bezdroża sztuki dzisiejszej.

W OSTATNIM NUMERZE PAX-u m. i. G. K. Chesterton—Milczenie parlamentów.

ADMINISTRACJA PRZYPOMINA o odnowieniu prenumeraty. Ze względu na nieukazanie się nr. wrześniowego dotychczasowi przenumeratorzy, którzy uiścili wszystkie zaległości, będą mieli przedłużoną prenumeratę o jeden miesiąc. Prenumeratę najwygodniej jest uskuteczniać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych). — Redakcja i Administracja przeniosły się na Metropolitalną 3—8.

Tak się przedstawiają—zgrubsza—niebezpieczeństwa grożące ze strony produktywizmu głębszej kulturze wewnętrznej. Posuwając się dalej, możemy dojść do stanu barbarzyństwa przy równoczesnem potężnem napięciu techniczno - produkcyjnem. Dziś głośna jest teorja upadku cywilizacji zachodniej, pożartej przez ducha Sowietów i Ameryki. Z bardzo licznych dzieł zagadnieniu temu poświęconych pozwolimy sobie przypomnieć głęboką broszurę Florjana Znanieckiego p. t. „Upadek cywilizacji zachodniej“, która w zasadniczym swym zrębie nic nie straciła na aktualności. W przedostatnim swym artykule Suchodolski, recenzując książkę G. Ellot Smitha p. t. „The Diffusion of Culture“ (London 1933), przytacza j e d e n t y l k o (charakterystyczne!) ustęp Smitha: „Utrzymanie cywilizacji było i jest zawsze dziełem nieprzerwanego trudu światłych i energicznych ludzi, a każde osłabienie wysiłku wprowadzało nietylko utratę poszczególnych umiejętności, ale nawet upadek całej cywilizacji“. Stoi przed nami groźne memento, na które musimy zwrócić uwagę.

3.

Inna rzecz—rozszerzając zagadnienie—rozumiemy, że nietylko produktywizm jest powodem zachwiania się kultury. Kto wie, czy nie jest on, biorąc odwrotnie, pewnem znamieniem, skutkiem zatracenia ideałów kształcenia wewnętrznego. Czy te ideały i wysiłek ku ich utrzymaniu i pielęgnowaniu nie osłabły przed „narodzinami produktywizmu“ i czy ideał produktywizmu nie zajął ich miejsca—to są pytania nierozstrzygnięte. Wiek XIX (po romantyzmie) był wiekiem epigonizmu, czego przykładem może być choćby tak zwany renesansyzm, czyli prąd kulturalny, który wobec zatracenia przez drugą połowę wieku XIX-ego własnego oblicza szukał oparcia wewnętrznego w minionej epoce renesansu; epokę tę podjął renesansyzm do wysokości wzoru i symbolu. Najwybitniejszym przedstawicielem tego prądu był Nitsche). Czasy przeszłe nigdy jednak nie potrafią wypełnić dnia dzisiejszego. Nic też dziwnego, że owa pustka wewnętrzna obok istniejącej w człowieku potrzeby czci czegoś wielkiego i potężnego pchnęła ludzkość do uwielbienia kolosu techniki, a w dalszej konsekwencji do produktywistycznego na świat poglądu. Nieprzezwyciężony zaś przez romantyków kult rozumu ludzkiego, który (od czasów Oświecenia) miał panować nad światem, przyśpieszył opisany wyżej proces. Najwcześniej produktywizm i technokracja rozwinęły się w Ameryce, t. j. w kraju o najsłabszych tradycjach kultury wewnętrznej i największem napięciu technicznem. Kapitalizm szedł temu prądowi jak najbardziej na rękę.

Postawę par excellence produktywistyczną posiada współczesny nam bolszewizm. Zgodnie z postawą filozoficzną, głoszącą, że najwyższą formą życia są procesy ekonomiczne, produktywistyczny kąt patrzenia jest zasadniczą postawą bolszewizmu wobec życia. Dla wzmożenia produkcji poświęca się tam wszystko, a dalsza jej rozbudowa staje się hasłem dnia. Na tem produktywistycznem nastawieniu gra wewnętrzna bolszewicka propaganda, owo słynne „przestawienia psychiki“ w tym właśnie idzie kierunku. Jak w doskonałym wierszu Aleksandra Biezymieńskiego, drukowanym w sowieckim numerze „Wiadomości Literackich“:

Trzymać się! Hej wszechświatowe Detroity!
. . . . Ooj ty!
My was dwukrotną trzykrotną nadwyżką!

Dla tej „nadwyżki“ cierpi głód Rosja jak długa i szeroka. Ta „nadwyżka“ uderza do głowy licznym turystom, zwiedzającym dziwy techniczne Rosji. I produktywistyczne nastawienie współczesnego społeczeństwa—to najlepsze podłoże dla sowieckiej propagandy, czyli dla propagandy kraju, dla którego produktywizm jest alfą i omegą sensu świata.

Z drugiej jednak strony kryzys ekonomiczny musiał w dużej mierze podkopać wiarę szerokich mas we wszechmoc produktywizmu. Ten głuchy pomruk, jaki idzie po świecie na wieść o paleniu kawy i bawełny, o topieniu pszenicy i wylewaniu mleka do kanałów, nie jest przychylnie usposobiony do „niszczenia nadprodukcji“. Wewnętrzne skutki kryzysu i na tym odcinku mogą być ogromne. Tu i ówdzie dają się nawet spostrzec objawy, świadczące na korzyść naszej tezy. Przedewszystkiem tak jest w Ameryce.

„Jesteśmy obecnie na początku zupełnej przemiany naszych pojęć ekonomicznych. W przyszłości będziemy myśleli znacznie mniej o wytwórcy, jak o spożywcy“. Z tem rewolucyjnem hasłem wystąpił Roosevelt do wyborów, w wyborach zwyciężył, a w realizacji tego hasła ma poparcie w znacznej części społeczeństwa amerykańskiego. To poparcie jest dla naszego zagadnienia bardzo znamienne, gdyż rooseveltowski program jest programem antyproduktywistycznym, wymaga również „przebudowy psychiki“, ale przebudowy w kierunku dostosowania wytwórczości do konsumpcji. Nie jest w tej chwili naszem zadaniem streszczanie programu rooseveltowskiego. Ale projektowane wycofanie z użytkowania 25 miljonów akrów dobrej ziemi uprawnej, słynna NIRA czyli National Industrial Recovery Act, która wprawdzie nie godzi bezpośrednio w produkcję, lecz reguluje ją zgodnie z interesami świata pracy, nie zaś samych producentów—to wszystko jest ilustracją naszej tezy. Nie chodzi nam w tej chwili o gospodarczą celowość myśli Roosevelta, ale ważny jest dla nas jej charakter i reakcje na nią społeczeństwa amerykańskiego. Świadczyłyby one, że bożek produktywizmu zaczyna się chwiać na swym tronie.

4.

Nie prowadzi to, niestety, do automatycznego pogłębiania życia wewnętznego—religijnego, umysłowego, estetycznego... Do takiego pogłębienia bowiem potrzebny jest świadomy celu, zdecydowany wysiłek; potrzebny jest wyraźny ideał, któryby potrafił kształcić i wychowywać człowieka. Temu zagadnieniu poświęca Suchodolski ostatni z omawianych artykułów. Idealem takim byłby ideał wychowania wewnętrznego, ideał rozwoju własnej osobowości. Życie trzeba ujmować z wychowawczego punktu widzenia t. j. z takiego, przy którym decydującem kryterjum oceny rzeczy, instytucyj, stosunków, przeżyć i ludzi jest ich znaczenie wychowujące, jakie mają dla człowieka. Z tego punktu widzenia Suchodolski potępia atmosferę, w której żyje człowiek współczesny, potępia wytwarzaną przezeń kulturę. I praca i rozrywka nie są dziś środkiem pogłębienia wewnętrznego. Ideał wychowawczy winien przeciwko temu wystąpić. Również jeśli pod wpływem układu stosunków społecznych powstają w ludziach silne uczucia zawiści, jeśli większość z nich przeżywa osłabiające wolę poczucie poniżenia i niesprawiedliwej krzywdy, jeśli nie może życia własnego rozwinąć swobodnie, jeśli musi, by żyć, zdobywać przewagę kosztem uczciwości—taki ustrój jest szkodliwy i żadne motywy nie mogą go usprawiedliwić.

Konkluduje Suchodolski w ten sposób: najgłębsza rola wychowania dla kultury polega na tem, iż uświadomienie sobie sensu wychowania wytwarza w nas skłonność do ujmowania rzeczy pod kątem widzenia wychowawczym. A ten punkt widzenia jest rewolucyjnem spojrzeniem na świat istniejący. Wychowanie odradza kulturę i przebudowuje ją. Ale nie przez to, a raczej nietylko przez to, że przysposabia do życia nowe pokolenia, ale przez to przedewszystkiem, iż w dojrzałem pokoleniu wzbudza krytycyzm, ucząc mierzyć rzeczy i stusunki miarą, jaką nie były dotychczas mierzone.

W tem dopiero miejscu podnosimy polemikę z autorem. Jaki cel, pytamy, ma mieć wychowanie? U Suchodolskiego jest ono celem samo w sobie, rozwój osobowości i tyle. Jeślibyśmy chcieli użyć trywjalnego argumentu, moglibyśmy powiedzieć, że równie dobry cel miałoby dążenie do rozwoju naszych mięśni, do wychowania naszego ciała. Przez cały ostatni artykuł Suchodolskiego przebija mglisto zarysowana istota, sens wychowania, sens, posiadający wartość bezwzględną. Ostatnie wnioski autora wyrażają sceptycyzm w tym względzie: „Miara, jaką stosunki i rzeczy nie były dotychczas mierzone“. I Suchodolski, tak słusznie i pięknie broniący przez długi ciąg artykułów „trwałej wartości“, walczący ze zmiennością, którą zaszczepia nam technika, wkońcu zdaje się rezygnować ze swego stanowiska. Na rezygnację tę nie chcemy się zgodzić, chcemy bowiem mierzyć wszystkie rzeczy i stosunki nie zmienną miarą własnej osobowości, lecz jedyną miarą odwieczną.

Tem niemniej zasadniczy zrąb poglądów Suchodolskiego jest głęboki tak ze względów indywidualnych, jak społecznych. Owo niebezpieczeństwo produktywistycznego poglądu na świat, życie niejako nazewnątrz siebie, zabójcza rola otoczenia dla rozwoju naszej osobowości—to wszystko są spostrzeżenia najbardziej nas obchodzące. Przetrawienie tych zagadnień i konsekwentne ustosunkowanie się do nich jest rzeczą konieczną, by wyjść z tego chaosu, w jakim toniemy.

P. Ł.

(Bogdan Suchodolski—Oskarżenie techniki. Pion, rok 1 Nr, 8 W sidłach produktywizmu. Rok II Nr. 8; Józef Chałasiński — Produktywizm uspołeczniony. Nr. 12; Bogdan Suchodolski—Kapitalizm i produktywizw. Nr. 16; Kultura—dzieło ludzkie. Nr. 34; Zwycięstwo wychowania. Nr. 40).

Warunki prenumeraty i cena ogłoszeń podane są na ostatniej stronie okładki.

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.
Wydawca i Administrator: WACŁAW TARASIEWICZ.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144.229